

Krzysztof
Spadło

Skazaniec

Tom VII

 Silver Lemon

Krzysztof Spadło

Skazaniec

PROJEKT OKŁADKI:
Dariusz Herbowski

ZDJĘCIE:
Dariusz Herbowski

KOREKTA I REDAKCJA:
Małgorzata Wawrzyniak

WYDAWCA:
KAGO

KONTAKT:
kago@skazaniec.com
krzysztof.spadlo@skazaniec.com

KONWERSJA DO WERSJI E-BOOK:
Marcin „Kamyk” Kamiński (dobre.media)

Copyright © 2018 Krzysztof Spadło & KAGO

www.skazaniec.com

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub
całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2018

*Dla mojego syna Bartosza
z okazji 25-tych urodzin.*

tom VII

Jutro jest czyste

(...)

Następnego ranka opuściłem celę razem z Sebą Latarnikiem. Ekipa warsztatowców, tak samo jak w przeszłości, starym, utartym zwyczajem ustawiała się w dwójkową kolumnę. Po kilku minutach formacja skazańców była gotowa do wyjścia z pawilonu. Stałem obok schodów i cierpliwie czekałem, aż klawisze wyprowadzą tych, którym zostało dane cieszyć się z możliwości pracy i uczciwego zarabiania forsy. Wśród zgromadzonych była tylko garstka siemachów, a ja pomyślałem, że tak oto wyglądają grypsujący, którzy mają odrobinę ambicji i oleju w głowie. No sami powiedzcie, czyż nie mam racji? Gdyby przyszło wam żyć w pudle, to wolelibyście całymi dniami siedzieć w komnacie, lampić się na gęby swoich kompanów, umierać z nudów i wymyślać pierdoły, czy pójść do roboty i zająć się czymś sensownym?

Mój Boże, tylko ja wiem, jak bardzo mi brakowało zajęcia! Czekałem cierpliwie aż klawisz dyżurny ruszy swój zad ze sterowni i pozwoli mi zabrać akcesoria niezbędne do sprzątnięcia.

Kilka chwil później zostałem zwyczajowo poinstruowany, że nie wolno mi bez celu pałętać się po terenie więzienia. Mogłem się jedynie poruszać wzdłuż ścian budynków i wykonywać swoje zadanie. Na koniec przytaknąłem głową, że wszystko rozumiem i ruszyłem korytarzem na wprost. Zapewne wyglądałem bardzo dziwnie. Starzec ubrany w wysłużony drelich, z plastikowym kubłem przewieszonym przez pierś i spiczastym sztyłem w dłoni. Chyba przypominałem postać, która została żywcem wyjęta z jakiejś opowieści o świecie pełnym magii, smoków i krasnali.

Kiedy minąłem wyjście z głównego budynku, zszedłem schodami w dół i stanąłem na więziennym dziedzińcu. W tym samym momencie w drzwiach obok bramy wjazdowej zobaczyłem dwóch mundurowych. Na ich pagonach widniały oficerskie insygnia. Jeden z mężczyzn spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem i szybkim krokiem ruszył w moim kierunku.

- Co tutaj robicie?! - Zapytał.

Już miałem mu udzielić odpowiedzi, kiedy nagle z okna na pierwszym piętrze budynku administracyjnego wychylił się jakiś facet i krzyknął:

- Roman! Wszystko w porządku! To funkcyjny! Zostaw go, niech się zajmie swoją robotą!

Oficer stojący obok, obrócił twarz w moją stronę.

- Co to za funkcja? - Zapytał.

- Zbieranie śmieci zalegających wzdłuż budynków pawilonów - odpowiedziałem.

- Aha - mruknął. - No to bierzcie się do dzieła - stwierdził i odszedł.

Wolnym krokiem ruszyłem w kierunku promenady i po chwili zniknąłem za rogiem.

Zegar na wieży uderzył dwukrotnie. Minęło wpół do ósmej i sam byłem ciekaw, ile czasu zajmie mi dzisiejszy obchód. Miałem nadzieję, że kołesie pełniący służbę wartowniczą, zostali powiadomieni o mojej obecności. Głupio byłoby dostać kulkę przez czyjąś niekompetencję...

Nie śpieszyłem się. Nie miało sensu, żebym się uwijał i robił na akord. Szpikulec okazał się wręcz złotym narzędziem, chociaż na początku miałem problem, żeby celnie ugodzić kiepa, a swoją drogą było ich tutaj od zatrzesienia. W ogóle "pas dobroci", bo tak w myślach nazwałem szlak wiodący wzdłuż ściany budynku, był pełen przeróżnych, drobnych śmieci. Papierki, skrawki materiału, kawałki drutów, szpulki po niciach, gwoździe, złamana łyżka, guziki, sprzączka od paska, puste pudełka po zapalniczkach, ogryzki jabłek, skórki od chleba... Na pierwszym obchodzie znalazłem nawet dwa kapsle od piwa, a na ich widok pomyślałem, że niektórym całkiem dobrze się tutaj wiedzie.

Kiedy snułem się wzdłuż drugiej ściany pawilonu C usłyszałem nagle cichy szept:

- Hej kolego! Pst! Hej kolego, tutaj!

Spojrzałem w kierunku skąd dobiegał głos. To było pierwsze z przodu okno na parterowej kondygnacji. Ujrzałem w nim gościa, który przytulał policzek do kraty i wpatrywał się we mnie.

- Kolego, masz jakąś fajeczkę na zbyciu? - Zapytał i posłał mi uśmiech.

Obróciłem się w tył i zerknąłem na wieżyczkę wartownika.

- Nie mam - skłamałem - ale mogę ci dać garść petów. Wysupłasz tytoń i skręcisz sobie szluga.

- No to daj brachu! Daj, bo jarać mi się chce okrutnie!

Kiedy wypowiedział swoje słowa zrozumiałem, że jestem kretynem. Jestem idiotą, imbecylem, durniem, głupolem i głąbem jakich mało. Naprawdę. Jak mogłem zareagować w tak idiotyczny sposób?! Przecież stojąc tutaj byłem jak na widelcu. Wszystkie okna peronu D, zwrócone na południowo-wschodnią stronę świata spoglądały prosto na mnie. Każdy więzień będący teraz w celi widział mnie jak na dłoni. Mało tego. Po tej stronie znajdowała się również dyżurka pawilonu!

- Niech to szlag! - Syknąłem pod nosem, a w myślach zacząłem rzucać siarczyste przekleństwa.

Zatrzymałem się pod jego oknem i udawałem, że zbieram śmieci.

Nawet gdyby wyciągnął rękę w moją stronę, to i tak nie byłbym w stanie dosięgnąć jego dłoni.

- Nie da rady - rzuciłem. - Jest za wysoko.

- To rzuć garść brachu prosto w kraty! No rzuć!

Zrobiłem krok do przodu i syknąłem przez ramię:

- Nic z tego, klawisz obcina nas z dyżurki!

Ledwo zaczął się dzień, a ja skłamałem już drugi raz.

- No zlituj się, rzuć jakąś pojarzę! - Zaskomlał ponownie.

Nic mu nie odpowiedziałem.

Nawet nie obróciłem się w jego stronę, tylko ruszyłem w przód.

Ten gość był mi zupełnie obcy. Nie znałem chłopca, no bo skąd? Przecież był osadzony na innym pawilonie. W przyszłości okazało się, że to właśnie był Giętka, który trafił na peron D trzy dni po tym, jak generał Jaruzelski ogłosił w Polsce stan wojenny.

Obchód wszystkich pasów dobroci i zebranie drobnych śmieci, zajęło mi nieco ponad dwie godziny. Kubeł, który dźwigałem, opróżniłem w kontenerze, stojącym obok budynku gdzie mieściła się więzienna kantyna.

Wróciłem do celi, zaległem na pryczy i zacząłem rozmyślać. Z każdą minutą nabierałem przekonania, że chyba na własne życzenie skomplikowałem sobie życie. Wieść o tym, że ktoś łązi i codziennie sprząta pod oknami cel rozejdzie się w trymiga. Na bank pojawią się tacy, którzy będą chcieli mnie wykorzystać w charakterze kuriera.

Nie musiałem długo czekać na pierwszą propozycję.

Trzy dni później Grabarz podszedł do mnie na spacerunku.

- Siemasz generale - powiedział - słyszałem, że wędrujesz o poranku wokół pierdła.

- Dobrze słyszałeś - odparłem i dałbym sobie obciąć głowę, że zaraz się zacznie.

- Sprawę mam - rzekł, po czym wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował mnie szlugiem. - Myślę, że mógłbyś mi pomóc.

- Ja? - Zapytałem przekornie, chociaż wiedziałem, jakie za chwilę padną z jego ust kwestie. - A niby w jaki sposób?

- Grypsy trzeba podać na inne pawilony - powiedział i spojrzał mi prosto w oczy. - To jak będzie?

- Nie da rady - odparłem. - Chciałbym, ale naprawdę nie da rady. Pod obstrzałem jestem. Klawisze filują i mają mnie cały czas na oku - kłamałem jak z nut, chociaż z drugiej strony mogło tak przecież być, prawda? Skąd miałem wiedzieć, czy nie jestem bacznie obserwowany? - Poza tym wiesz jak jest - rzekłem - byle frajer z piątej kolumny mnie zakapuje i sprawa się rypnie.

- Znajdziemy bezpieczny sposób, nic się nie martw - posłał mi fałszywy uśmiech.

- Nic z tego - powiedziałem stanowczym głosem. - Nie angażuję się w żadne przesyłki.

Grabarz zaciągnął się głęboko, wypuścił dym z płuc, pochylił się nieco w moim kierunku i syknął przez zaciśnięte zęby:

- To tak mi się odwdzięczasz? Taki jesteś honorowy?

- A za co ja mam być tobie wdzięczny? - W geście zdziwienia, zmarszczyłem czoło.

- Jak to za co? A kto dał ci wasala do komnaty? - Swoje słowa wypowiedział z wyraźną nutą pretensji.

- Co ty gadasz? A czy ja ciebie o to prosiłem?! - Prawie warknąłem. - Seba Latarnik to tylko moje utrapienie. A może już nie pamiętasz, jak cię prosiłem, żebyś mi pomógł zmienić współlokatora?! Co wtedy powiedziałeś?! No co powiedziałeś?! - Zatrzymałem się w miejscu i odważnie wlepiłem wzrok w jego oblicze.

W oczach Grabarza ujrzałem mieszankę złości i gniewu.

Nie wiem jak długo staliśmy, mierząc się spojrzeniami ale miałem wrażenie, że ta chwila trwa całe wieki. Nie spękałem, nie spuściłem wzroku. On zrobił to pierwszy.

- Czyli nie mogę na ciebie liczyć? - Zapytał po chwili.

- Przykro mi, ale w tej sprawie nie jestem w stanie ci pomóc.

- Rozumiem - odparł, pokiwał głową i dodał: - Szkoda.

Mógłbym zrobić zakład o wszystko, że pod tą skorupą pozornej dyplomacji Grabarza czaiła się wściekłość. Zdawałem sobie sprawę, że jest on człowiekiem nieprzewidywalnym i że być może za jakiś czas, przekonam się o tym na własnej skórze. Oczywiście wolałem uniknąć konfliktu z ferajną, ale z drugiej strony nie miałem zamiaru zostać ich mułem.

Czy ta myśl mnie dręczyła?

No pewnie, że tak!

Pytania pojawiły się niemal natychmiast.

Czy odmawiając współpracy, przyjdzie mi ponieść z tego tytułu

konsekwencje? Czy czołowy siemach z peronu D będzie pragnął zaprezentować mi miażdżącą siłę swej władzy? Czy będę potrafił przeciwstawić się jego działaniom i intrygom?

Nawet przemknęło mi przez myśl, że moja fucha sprzątającego może niebawem zamienić się w paskudny koszmar.

Tamtego dnia podjąłem decyzję, że z nikim nie będę wchodził w układ. Żadnych przysług, żadnego przekazywania grypsów czy też ustnych wiadomości. Nie dam się uwikłać w jakieś idiotyczne afery. Udało mi się pozyskać idealne zajęcie, więc powinienem je strzec i szanować. Naprawdę nie miałem zamiaru nadstawiać karku i poświęcać tej fuchy dla czyichś interesów.

Codziennie wyjścia po śniadaniu i obchód dookoła więziennych pawilonów, były dla mnie prawdziwym luksusem. Myślę, że pokochałem te sprzątające spacerunki od pierwszego dnia. Nikt nade mną nie sterczał, nie warczał i nie patrzył mi na ręce. Mogłem swobodnie dreptać przez ponad dwie długie godziny. Od czasu kiedy skończyłem udzielać się w archiwum, całymi dniami siedziałem na dupie w czterech ścianach. Żyłem na kilku metrach kwadratowych, a teraz mój świat zyskał potężną przestrzeń. Miałem poświęcić ten dar? Zaprzepaścić, bo jacyś gamonie mieli sprawy do obgadania? Ooo nie, nic z tego! Każde więzienie na naszym ziemskim padole, to takie magiczne miejsce, gdzie w pierwszej kolejności musisz zadbać o siebie.

Nie było dnia, żeby ktoś z piątej kolumny nie zaczepił mnie podczas sprzątania. Frajerzy i cwele zachowywali się normalnie, ale z grypsującymi było już gorzej. Na początku każdy miał jakąś prośbę. Po kilku dniach prośby zmieniły się w żądania, aż wreszcie nastąpiła epoka obelg i wyzwisk pod moim adresem. Bardzo szybko do tego przywykłem i wszelkie wulgarne epitety puszczałem mimo uszu. Niektórzy byli tak żałośni, że sądzili, iż mogą mnie wziąć na huk. No sami powiedzcie, jaką kurde trzeba być pierdołą, żeby stojąc po drugiej stronie krat próbować podniesionym głosem zastraszyć najstarszego, wronieckiego galernika? Jeden ćwok z peronu B, pewnego ranka uwiesił się na kracie i zaczął mnie obrażać. Nawet nie spojrzałem w jego stronę i ominąłem lekkim półkolem pas dobroci pod oknem celi, w której był osadzony. Czort wie, co temu debilowi mogło strzelić do jego pustego łba? Może chciałby mnie czymś zdzielić? Jednak nic takiego się nie zdarzyło, a tamtego dnia tylko usilnie starał się mnie opluć. Pewnego razu dwóch siemachów z pawilonu A wpadło na pomysł, żeby specjalnie nasyfić pod swoim oknem. Tak dla

hecy, żeby tylko dołożyć mi roboty. Nie mam na to żadnych dowodów, ale sędzę, że uczynili to na prośbę Grabarza. Udało im się zrobić mnie na szaro, bowiem kiedy podszedłem bliżej i zacząłem zbierać śmieci, jeden z nich chlusnął przez kraty wodą z wiadra. Ja miałem mokry cały grzbiet, a oni ubaw po pachy. Zapowiedzieli mi, że następnym razem obleją mnie zawartością bomby. Ten incydent został jednak zauważony przez wartownika, który siedział w północnej wieżycy strażniczej. Niespełna kwadrans później dowódca peronu A wraz z dwoma klawiszami wyprowadzili na zewnątrz dwójkę dowcipnisiów i kazali im osobiście posprzątać wszystkie śmieci wzdłuż muru pawilonu. Jeden z nich był chyba bardziej zadziorny niż jego kompan. Włożył ręce do kieszeni spodni i w mojej obecności powiedział, że sami mogą sobie sprzątać, bo on ma to w dupie. Pyskował, cwaniakował, stawiał się... Dwa dni po tym zdarzeniu dowiedziałem się, że ów watażka za swoje zachowanie trafił na twarde łóżko. Nie sędzę, żeby zasłużył sobie na to pyskówkami i demonstracją własnego uporu, pewnie nabroił coś jeszcze. Od tamtej pory nikt więcej nie zrobił mi takiego numeru.

Dni wolno płynęły do przodu. Nastąpiła jesień, a ja twardo i niewzruszenie, nie bacząc na deszcz czy mżawkę dzień w dzień z niedzielami włącznie, cisnąłem z kubłem przewieszonym przez pierś i szpikulcem w dłoni. Kilka razy usłyszałem od klawiszy, którzy pełnili służbę na sterowni, że dziś mogę sobie odpuścić bo na dworze jest kiepska aura. Jednak mnie nie zrażał ani listopadowy deszcz, ani grudniowy mróz. Dopiero kiedy na tydzień przed świętami ostro sypnęło śniegiem, usłyszałem z ust Juliusza Cezara, że sprzątanie rejonów zewnętrznych zostaje wstrzymane aż do odwołania.

Z początkiem wiosny 1977 roku znowu zacząłem dbać o czystość na pasach dobroci. Nawet nie musiałem się upominać, że ta funkcja należy do mnie. Pewnego marcowego dnia klawisz dyżurny zjawił się w drzwiach celi 715 i powiedział:

- Tak Żabikowski, śnieg stopniał i pora zabrać się za sprzątanie!

Zarzuciłem na grzbiet starą fufajkę, włożyłem beret i w asyście funkcjonariusza udałem się do gospodarczej kanciapy. W rogu pomieszczenia czekał na mnie plastikowy kubek i włócznia samoróbka. Kiedy kroczyliśmy korytarzem w kierunku wyjścia z głównego budynku, funkcjonariusz zaczął mnie instruować:

- Żabikowski, tylko żadnego gadania z więźniami. Będę was miał na oku!

- Powiedział groźnie. - Robicie swoje i nie interesujecie się znudzonymi złodziejami sterczącymi w oknach. Powtarzam wam raz jeszcze, żadnej gadki, żadnych gestów! Zrozumiano?!

- Tak jest obywatelu kapralu - odparłem grzecznie.

Jeśli wam umknęło z pamięci określenie złodziej, to tylko przypominam, że klawisze w swoim dialekcie tak nazywali wszystkich więźniów.

Powiem wam, że gad faktycznie miał mnie na oku. Kiedy ja wolnym krokiem sunąłem wzdłuż ścian budynków i robiłem swoje, funkcjonariusz dreptał nieco dalej i bacznie obserwował moje działania. Prawdę powiedziawszy jego obecność była mi na rękę. Muszę też stwierdzić, że po tych kilku zimowych miesiącach było co zbierać, oj było!

Przez kilka pierwszych dni, zawsze towarzyszył mi któryś ze strażników pełniących służbę na sterowni. Podejrzewam, że takie było polecenie Juliusza Cezara, który być może chciał mnie wysiudzić z tej fuchy. Wiem, że nie pałał do mnie sympatią i pewnie liczył, że popełnię jakiś błąd, a wtedy mógłby z czystym sumieniem pozbawić mnie tego zajęcia. Myślę, że on zawsze podejrzewał mnie o jakąś komitwę z siemachami. Trudno mi powiedzieć, co mu siedziało we łbie. Ten facet nawet nie zdawał sobie sprawy, jak ważne były dla mnie poranne wyjścia. Oprócz czytania książek, spacerowały moją jedyną odskocznią od więziennej nudy i monotonii. Funkcję sprzątającego rejony zewnętrzne piastowałem praktycznie do samego końca, czyli do dnia, kiedy przyszło mi opuścić wronieckie kazamaty. Poranne obchody tak weszły mi w krew, że po dziś dzień muszę dokładnie o siódmej trzydzieści wyjść na dwór. Nie ma znaczenia jaka jest pogoda. Deszcz, śnieg, grad, burza, wichura... Nic nie jest w stanie mnie powstrzymać. Naprawdę czuję się uzależniony od porannych spacerów i na dodatek kocham te chwile. Budzę się rano, toaleta, potem na spokojnie zjadam jakiś treściwy posiłek, fajeczka i zrzut do kibelka. Słucham radia, piję herbatę, jaram kolejnego szluga, wskakuję w ciuchy, zakładam buty i ruszam w drogę. Najbardziej uwielbiam ten moment, kiedy wychodzę z budynku, a rześkie poranne powietrze uderza mi w twarz. W nozdrzach panoszy się świeży zapach nadchodzącego dnia. Nic nie jest w stanie tego przebić. Nic. Wolnym krokiem ruszam przed siebie. Nie muszę już zbierać petów ani śmieci wszelakiej maści, jestem wolnym człowiekiem, królem życia idącym na spacer. Mijam otwartą na oścież bramę gospodarstwa, kroczę przez duży, pusty plac i kieruję się w stronę parku. Bez pośpiechu wędruję pustymi alejkami, a do moich uszu docierają odgłosy miasta. Niekiedy obok mnie przemknie jakiś anonimowy przechodzień, który zmierza szybkim krokiem, bo czas go

nagli z tylko jemu wiadomych powodów. W trakcie moich spacerów rozmyślałam o wielu rzeczach, staram się unikać wspomnień związanych z więzieniem, ale nie sposób uciec od własnej przeszłości. Wiecie jak to jest, kiedy czasami jedno ulotne spojrzenie potrafi sprawić, że w duszy zadudnią echa zamierzonych wydarzeń? Myślę, że niektórzy z was doskonale znają to uczucie. Ja miewam je dość często. Dziś rano właśnie dopadło mnie coś takiego. Kroczyłem przed siebie, kiedy nagle obok krzewów magnolii zobaczyłem kota. Sierść miał czarną jak noc. Przystanąłem i spojrzałem w jego błyszczące oczy. Siedział bez ruchu i wpatrywał się we mnie. Kiedy zrobiłem krok w przód, kot zmienił swoją pozycję, jakby szykował się do ucieczki. Zrobiłem drugi krok, a on w tym samym momencie pomknął przed siebie na wprost. Spoglądałem za nim i nagle w moich wspomnieniach odżyło pewne zdarzenie, które miało miejsce w drugiej połowie maja 1977 roku...

Tamtego dnia jak zwykle o siódmej trzydzieści ruszyłem na swój sprzątający obchód. Kroczyłem więziennym dziedzińcem, a w powietrzu unosił się zapach wiosny. Beztroski wiatr baraszkował pośród liści drzew, rosnących po drugiej stronie ceglatego muru. Spojrzałem na wprost. W oddali na soczyście zielonych źdźbłach trawy, która porastała spacerniak, krople porannej rosy mieniły się diamentowym blaskiem w promieniach majowego słońca. Ten widok był tak zachwycający i niesamowity, że stanąłem w cieniu budynku. Z podziwem wpatrywałem się w ów cudowny spektakl. Nie trwał zbyt długo, bowiem z każdą chwilą słońce wspinało się po niebie, zmieniając kąt padania promieni. Magiczny, połyskujący dywan, który Matka Natura rozścieliła na promenadzie, z każdą sekundą zdawał się znikać. Zupełnie jakby jakieś zaklęcie miało nad nim władzę i kazało mu rozpląnąć się w wiosennym poranku.

Przyznam się wam, że miarkowałem robotę. Dwugodzinny obchód był lekką przesadą, ale żaden klawisz nigdy nie miał z tego tytułu problemu. Z czasem doszedłem do takiej wprawy, że kiedy mijałem stalowe wrota wiodące do kotłowni, robiłem sobie pauzę. Siadałem na jednym z ceglanych słupków, które od zawsze sterczały po obu stronach dwuskrzydłowych drzwi i spokojnie jarałem szluga. Wiele razy zastanawiałem się, czy ołowiany odlew klucza, który spoczywał w moim pudełku po wiśniach w czekoladzie, nadal pasuje do zamka? Oczywiście nie miałem zamiaru tego sprawdzać, bo któryś z wartowników siedzący w wieżyczce bez trudu mógłby to dostrzec. Po mojej prawej stronie, niespełna trzydzieści metrów dalej, stał budynek w którym kiedyś znajdowała się stolarnia. Nie miałem pojęcia jaką funkcję teraz pełnił ten

obiekt. Podejrzewam, że jego wnętrze zostało zaadoptowane na graciarnię. Od lat nikt się tam nie kręcił, a u drzwi z których płatami odpadała łuszcząca się farba, wisiała duża, zardzewiała kłódka. Tamtego majowego dnia siedziałem na słupku i paliłem fajkę, kiedy nagle zza rogu starej stolarni wyłonił się kot. Zobaczyłem zwierzaka i od razu pomyślałem: - *A ten skąd się tu wziął u licha?! Czworonóg wolno zmierzał w moją stronę. Sierść miał czarną jak smoła. Nie wyglądał na ospałego, podtuczonego kota, który przywykł do domowych wygod i żarcia podanego w misce. To był łowca, prawdziwy twardziel. Szedł i nie spuszczał ze mnie swojego wzroku. Zatrzymał się jakieś dwa metry przede mną i przysiadł na tylnych łapach.*

- Co tutaj robisz kolego? - Zapytałem.

Kocur przekręcił łeb w prawo i wlepił we mnie swoje ślepie.

Założyłem nogę na nogę, a zwierzak w tym samym momencie ruszył w kierunku drugiego słupka i wskoczył na niego z niebywałą gracją. Usiadł i bezustannie spoglądał na mnie.

- Prawdziwy z ciebie tygrys - powiedziałem i uśmiechnąłem się pod nosem.

Na dźwięk moich słów kot zamiauczał, jakby chciał potwierdzić, że mam rację.

- Czarny jesteś, a pecha też przynosisz?

Znowu zamiauczał, ale tym razem zabrzmiało to tak, jakby chciał powiedzieć w swoim kocim języku:

- Nieee...

- Skąd ty się wzięłeś? Jak się tutaj dostałeś? - Zastanawiałem się głośno. - Jeśli zobaczy cię któryś z klawiszy, to będziesz miał kłopoty - rzekłem poważnie i pogroziłem mu wskazującym palcem - miej się na baczności, tygrysie. Mogę do ciebie mówić Tygrysie? Podoba ci się to imię?

Pokręcił głową, a ja byłbym w stanie przysiąc, że ta czworonożna istota doskonale rozumie każde moje słowo.

- Niestety muszę już iść. Robota czeka.

Podniosłem się z miejsca, a on nawet nie drgnął.

Przełożyłem sznur z kubłem przez pierś, złapałem za dzidę, spojrzałem na zwierzaka i powiedziałem:

- Wpadnij jutro o tej samej porze, to znowu trochę pogadamy...

Obróciłem się na pięcie i ruszyłem pasem dobroci wzdłuż ściany budynku. Po kilkunastu krokach obejrzałem się za siebie i ze zdziwieniem stwierdziłem, że czarny łowca kroczy za mną w bezpiecznej odległości.

Przystanąłem. Kot wpatrywał się we mnie z głową zadartą do góry, a ja po

chwili rzekłem do niego:

- Wiem, że to gówniane zajęcie, ale lepsze takie niż żadne. Więc daruj sobie wszelkie komentarze, dobrze?

Tygrys zamiauczał, po czym spojrział w prawo i czmychnął pomiędzy prętami krat do piwnicy, w której znajdowała się więzienna kotłownia.

Uśmiechnąłem się pod nosem i powiem wam, że naprawdę byłem ciekaw, czy mój nowy znajomy pojawi się jutro w umówionym miejscu.

Przez kilka następnych dni wychodząc do pracy zabierałem z sobą nawet jakieś żarełko, żeby zdobyć przychylność Tygrysa, ale niestety nigdy więcej nie zostało nam dane się spotkać.

Zapewne mieliście okazję usłyszeć lub przeczytać, że na przestrzeni dziejów w różnych kulturach i cywilizacjach koty zawsze odgrywały istotną rolę. Starożytni Grecy utożsamiali te czworonożne istoty ze złem, natomiast Egipcjanie i Rzymianie uważali je za święte. Waleczni Wikingowie również wierzyli w boskość kotów, a kiedy w Europie nastąpiły czasy średniowiecza, wtedy powstał przesąd o czarnym kocie. Zabobon sprawił, że stworzenia tej maści naprawdę miały przechlapane. Zmiany przyniosła dopiero epoka renesansu, a stało się to za sprawą znanej chyba wszystkim bajki pod tytułem "Kot w butach". Najstarsza udokumentowana wersja pochodzi z XVI wieku i jak podają niektóre encyklopedie, jej autorem był niejaki Giovanni Francesco Straparola.

Jeżeli chodzi o wronieckiego Tygrysa, to zawsze wierzyłem, że był on zwiastunem zmian, które nastąpiły z dniem 1 czerwca 1977 roku. Można śmiało powiedzieć, że ten dzień rozpoczął nową erę polskiego więziennictwa. Został wtedy wdrożony w życie rewolucyjny program, który był sygnowany dumnie brzmiącym sloganem: "Humanizacja polityki penitencjarnej".

(...)

Zamów pełną wersję e-booka na stronie <http://www.skazaniec.com>